



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## POGAWĘDKA.

Gdy słońce raka zagrzewa  
A słowik więcej nie śpiewa,  
Sobótkę, jako czas niesie  
Zapalono w czarnym lesie.

O, bujna fantazyo ludzka, o—siło myśli, umiejąca nie tylko w przyszłość wybiegać lecz i cofać się w przeszłość niepowrotną! Polećcie w owe minione, dawne czasy, o których stary wieszcz wspomniał; idźcie, przynecone blaskiem ogniska na polanę do czarnego lasu i przypatrzcie się prasłowiańskiej zabawie, przysłuchajcie się pieśniom i okrzykom, którym odpowiadały i echa wezwane na tę uroczystość świętego dnia Kupali. Stos płonął, gędzba brzmiała, tęskna pieśń na falach płynęła powietrza; w okrag ogniska płały rozbawione pary, przez płomień przeskakiwała młodź dziarska, porywano dziewczęta, kochające się pary nie ściagały się długo, w gorącym łączyły się uścisku, błogosławiąc w przeznaczaniu, że nie rozdzieliło ich niczem. Szumiały dęby prastare i sosny, gwar nie ustawał, nie milkła pieśń sobótczana, a oto szumią niedalekiej rzeki fale, którym dziewczęta losy swoje powierzają, nad której urwiste brzegi spieszają ze splecionymi wiankami kwiatów bielicy... Płyń w wartko rzeka oświetlona blaskiem płonących ognisk... Na drżącej fali jeden i drugi zakółkał się wianek, już dziesięć płynie, z dziesiątków jedna i druga utworzyła się setka. Różnorodnymi barwy drgają szybko płynące fale, zda się, że nowe życie traćono niemi, że i one świadomy udział biorą w tę uroczystą noc Ś. Ja-

na, w której proroczy zakwita kwiat paproci, nieujęty tylko dotąd dłonią niczyją...

Płyną wianki z szybkością fal, na których się unoszą; z drzeniem serca patrzą na wianek swój dziewczęta, bo oto za łodzią łódź pomknęła, za wiankami młodzieńcy pędzą, migają jedne, chwytają drugie, czasem schwytyany już precz rzuca, czasem niegodziwa fala niejedną w nurtach swych pochłonie, aż krzyknie boleśnie pierś dziewczęca, przerażona wróżbą kupałowej nocy. Brzmia okrzyki trwogi i śmiech radości—coraz więcej łodzi mknie za wiankami, coraz mniej wianków kołysz się już na falach:—jedne, niedognane, w dalekiej gdzieś zginęły przestrzeni, inne w kryształowych utonęły nurtach, inne znów z tryumfem ku górze podnoszą młodzieńcy, szukając właścicieli ukrywających się w rozbawionym tłumie.

Lecz niema obawy, młodzieniec odgadnie, serce przeczuje, zresztą właścicielka przyzna się sama. Gwar wzrasta, przerywany westchnieniami tych, których spotkał zawód bolesny, które znów rok cały muszą czekać, rok cały tłumić bicie gorącego serca.

Gdzie nie gdzie jeszcze, tylko gdzie nie gdzie zachował się ten piękny zwyczaj, gdzie nie gdzie jeszcze obchodzona jest ta uroczystość nocy Świętego Jana z niepokalaną czystością. W miastach pozostała tylko jako pamiątka przeszłości, pamiątka, gdzie główną rolę odegrała siła przyzwyczajenia, jakiś mus niezrywania z tradycją, lecz nie pragnienie zabawy, w której, bądź co bądź, tłumy czynnego udziału nie biorą.—Z sobótek i wianków pozostał tylko suchy szkielet zmieniony do niepoznanania, ubrany w sukienkę, tą razą szpecącą, cywilizacji.

Rok rocznie, w wieczór Świętojański, brzegi naszej Wisły szarej roją się od kilkunastotysięcznego tłumu. Za zasługę poczytujemy Towarzystwu Wioślarskiemu, że nie zrywa z tradycją, że dużo dokłada trudu i pracy do urzą-

dzenia wianków, które, jak powiedzieliśmy, straciły na właściwej sobie charakterystyce, bo głównym celem zabawy, powinna być gonitwa za puszczonemi z rąk dziewczęcych wiankami, choćby dawniejszego nie miała znaczenia, co samo przez się ma się rozumieć. Gonitwa jednak podobna, odbywana na wartkach nurtach naszej Wisłki nie byłaby zabawą zbyt bezpieczną; uczestników znalazłoby się dużo, a przy nieumiejętnym kierownictwie łodziami, za wiankami goniacami,—niejednoby się odbyło salto mortale. Jednak, bez narażania się na wielkie niebezpieczeństwo, można byłoby coś przecie uczynić gwoli tradycji. Na łyżwiarskiej, naprzykład, przystani, niech będzie ograniczona pewna ilość miejsc—dla panien tylko. Każda z dziewcząt obowiązana przyjsz z wianeczkiem oświetlonym jakąś lampką pośrodku i puścić go na fale Wisłane. Młodzież należąca do cechu wioślarskiego, oczywiście kawalerowie do wzięcia—pojedynczo na łodziach niech w pogoń za tym skarbem dziewczęcym płyną, przy dźwięku muzyki i śpiewach stosownych. Niejedną wianek przez kilku naraz goniony będzie, wywiąże się walka nieszkodliwa, której rezultatem niejednokrotnie będzie śmiech pusty. Bo któż zabroni starej panie naprzykład, niemającej już pretensyi do hymenu, rzucić dla figla piękny wianek na rzekę?—ktoż zabroni marcowemu kawalerowi uchwycić rzucony wianuszek piętnastoletniej dziewczeczki?—Zabawa stanie się ogólniejszą, ożywną więcej, a ręczę, że nikt z uczestników nie pogniewa się, przeciwnie, dużo będzie śmiechu, sprawionego przez los, mający na oczach przepaszkę.—W rzędzie różnych działów programu, jeden podobnej gonitwie poświęcić nie zawadziłoby wcale. *Wianki* nie byłyby pustym wyrazem, jak są obecnie, nie miałyby dawnego zabobonnego znaczenia, a zostaną jednak tem, czem dawniej były.

Czy zła myśl?

Zostawiam ją do rozpatrzenia urzędnikom

zabawy, a teraz wracam do opisu tegorocznego obchodu wianków na Wiśle pod Warszawą.

„Wieczór był cudowny, pobłękitniały nawet płowe fale Wisły; kilkunastotysięczny tłum zajął wybrzeże, przepelnione wszystkie łoże, krzesła i ławki, każdy z niecierpliwością oczekiwał ukazania się pierwszej łodzi, pierwszego wianka rzuconego na ruchome fale rzeki. I oto ukazał się wspaniały korowód łodzi, przesłanicznie oświetlone gondole śmigały po powierzchni fal Wisły, które okryły się tysiącem wianków oświetlonych różnokolorowymi światłami i spływały w dół królowej rzeki, ku Bałtykowi gdzie płyną. Przewspaniałe były wianki, różnych Towarzystw, wzbudzające grzmiot okłasków w zachwyconych tłumach, muzyka i śpiew czarowały słuch widzów, przyspieszonym tętnem były serca, zupełne zadowolenie na wszystkich małowalo się twarzach, ognie sztuczne rozpryskujące się pod błękitem w gwiazdy różnobarwne, dodawały niezrównanej piękności całej zabawie. Zdawało nam się, że byliśmy przeniesieni w jakąś zaklętą krainę, że z nurtów Wisły wypłyną czarodziejskie boginki i śnieżne ku nam ramiona wyciągną. Po skończonej zabawie każdy żał uczuł w swej piersi, że czar minął. Westchnienia z cichym szeptem się zmieszały, tu i tam niewieści głos zadzwonił:

— Panie Karolu (albo Edwardzie) nieprawda, że na rok przyszyły znowu się zobaczymy na wiankach?

Pan Karol (albo Edward) lekkim uściskiem dłoni odpowiedział, powłóczył spojrzenie zapłacało za ten uścisk panu Karolowi (albo Edwardowi).“

Takimi słowami mniej więcej wszyscy sprawozdawcy pism naszych codziennych odezwali się o tegorocznym obchodzie wianków. Niestety! myśmy nieco w innych widzieli kolorach, a zasyłaną rozmowę, westchnienia i szepty kładziemy na karb—(wprawdzie nie karygodnej)—wyobraźni sprawozdawców, którzy, mając przeznaczone miejsca na wieży wioślarskiej altany, przedstawili sobie żywe zadowolenie tłumów, a bicie laskami i tupanie nóg zniercierpliwionych widzów zbyt długimi antrakdami, wzięli za szczere brawa i zachwyt. — My, jakkolwiek z kronikarskiego obowiązku byliśmy na wiankach, nie zasiedliśmy na wieży w rzędzie sprawozdawców, lecz przechodziliśmy przez długi szereg krzesel, ławek i łóż, słuchając różnych zdań i głosów i—„niestety!“ powtarzamy poraz drugi—tego wielkiego zadowolenia nie mogliśmy dosłyszeć wcale.

Przeciwnie!

Długie antrakty między wypłynięciem jednej a drugiej łodzi, niecierpliwili publiczność; zaczęto stukać i tupać, a wreszcie głośna rozmowa między siedzącą publicznością, nie była niczem innym jak tylko objawem pewnego niezadowolenia i—znużenia.—Ognie sztuczne zrazu się nie bardzo udawały, wiele było huków i trzasku, ale jednego błysku nawet nie można było dostrzedz; za każdym takim wystrzałem nerwowe niewiasty wydawały wprawdzie okrzyki, ale to nie były okrzyki zachwytu. Pod koniec dopiero widowska kilka fajerków było rzeczywiście wspaniałych i mogły zająć wzrok obojętnej nawet widza.—Muzyka i śpiewy podobały się słuchaczom, jakkolwiek dźwięki niezbyt wyraźne dochodziły do brzegu, pochłaniane prawdopodobnie przez opary wodne, może przez wiatr w inną kierowane stronę. I dla tego śpiewy, tak powszechnie lubione „Lutni:“ „Góry Norwęgskie“ Kierulfa „Zażeganie „burzy“ Dürrera „Maryś“ (krakowiak) St. Niedzielskiego i „Polonez“ S. Maszyńskiego—pomimo (niezbyt hucznych) braw, przeminęły bez większego wrażenia, niektóre zaś allegoryczne łodzie, jak—„Biwak myśliwski“ i „Wisła“ trażyły z powodu złego oświetlenia. Odańczony tylko mazur na galarze przed chatą krakowską, wzbudził bez zaprzeczenia większy entuzjazm, tu i tam nawet dało się słyszeć wołanie o powtórzenie. Rzucone wianki na Wisłę w kształcie piramidek i budek czy domków jakichś, bardzo ładnie oświetlone, gasły zbyt szybko, w trzeciej części zaledwie przepłynąwszy przestrzeń przed łozami—

szkielet zaś złożony z suchego, na zielono pomalowanego drewna płynął dalej, a tłum stojący na wale od Tamki mógł śmiało powiedzieć że był na wiankach, lecz wianków wcale nie widział.

Najpiękniejsze, to były ognie sobótki na miełach Wisły zapalone. Płonące smolne beczki ładny przedstawiały widok, odbijając się w ruchomych falach Wisły, a fantazyja poety z unoszących się kłębow dymu mogła wytworzyć boginki wodne, rusalki o kształtach powiewnych i Bóg wie zresztą nie co.

Jednąśmy także zauważyli niewłaściwość, która niemile dotknęła tłum trzydziestogroszowy, w zbitej, kilkunastotysięcznej massie zalegający wybrzeże Wisły.—Nam się zdaje, że nie ci, którzy po kilka rubli łoże a po rublu ławy zajęli—żądni są widowiska, lecz właśnie ten tłum za ciężko nieraz może zapracowaną złotówkę, zalegający przeznaczone mu na widowisko miejsca. Łodzie przybrane ładnie, przedstawiające, jedne; Królowę rzek naszych, inne, jakies góry lodowe, jak Łódź Towarzystwa wioślarskiego—ręczywisty zachwyt wzbudzałyby w tych massach narodu—tymczasem każda z nich, dopłynawszy zaledwie do połowy nadbrzeża zajmowanego przez łoże, wracała do przystani z powrotem, tak, że piętnastokopiejkowa, a najliczniejsza publiczność, widziała tylko jakiś ruch światła z daleka, ale co to było, wiedzieć nie mogła. Łodzie nie dopływały do niej, deflując tylko i to przed nie wszystkimi łozami, puszczone wianki spalały się zbyt prędko, ażeby można było choć oddalonym ich widokiem nasycić się—tłum więc mrucał niechętny, wyrażając nawet głośno żal za wydaną złotówką.—A jak już rzekliśmy zabawa ta nie powinna mieć cechy arystokratycznej, bo doprawdy, że pierwszym rzędem dość jest obojętne jaki transparent na łodzi ujrzą—tymczasem massa spragniona jest widowiska, którego jej nawet podczas wianków, na szerokiej Wiśle nie dano.—Pomimo więc pięknego wieczoru, a wbrew sprawozdaniu dzienników—nudno było nad naszą Wisłką w noc Janową, a jeżeli ponad brzegiem kołysało się morze (bez przesady) głów ludzkich—to, okrom przywiązania tradycyjnego do „Wianków“ cel zabawy, aż nazbyt napływ ten tłumaczył.

Jakiżbo to był cel?

Dochód czysty miał pójść na pomnik Adama Mickiewicza—to dość!

Jakże jest rzecz z pomnikiem, właściwie ze składkami na pomnik?

Nie wiem czy w całym narodzie naszym znalazł się choć jeden człowiek, któryby wątpił o tem, że zatwierdzony fundusz na pomnik w niezmiernie krótkim nie zbierze się czasie? Myśmy przynajmniej nie wątpili i byliśmy pewni, że choćby pół miliona rubli potrzeba byłoby zebrać, w przeciągu pół roku i owe półmiliona zebrałibysmy.

Przezierając listę składek, cieszy nas to głównie, że datków zbyt wielkich niema, przeciwnie, ogromna moc jest złotówek i pięciokopiejekówek, co dowodzi, że massa narodu, jak jeden mąż stanęła do apelu. Najwięcej nas cieszą datki włościan. To grosz wdowi, grosz tych, którzy na wezwanie stanęli, — bez światła, pragnący światła.

W tej wielkiej orkiestrze, (że się tak wyrazimy) składek, batutę trzyma Warszawa. Poważny jest udział mieszczan i włościan, najmniejszy — niestety — ziemian. Szlachta się ociąga, zwłoczy—dla czego? Mówią niektórzy, że dopiero jesienią, po zbiorach da wiedzieć o sobie. Przepasram was, panowie szlachcice, ale, czy to już nie zapóźno będzie? Po dziś dzień mamy zbraną sumę ogółem przechodzącą już sto siedemdziesiąt tysięcy rubli—brakuje jeszcze pół trzydziestu tylko i—lista będzie zamknięta. Żali tu chodzi o krocie, setki, dziesiątki nawet?

Nie!

Chodzi o wasz udział tylko.—Już z datków groszowych zebrały się tysiące, dajcież i wy po rublu, nie więcej, bylebyście nieobeecnymi nie byli. Nie chorujemy na państwo, nam serca potrzeba, żywszego tętna krwi potrzeba. Wstyd fałszywy odrzućmy na bok—bez zbiorów jesienich na rubli parę zdobyć się można, z setkami

wstrzymajcie się, z udziału mass setki i miliony robią się. A radzimy wam się śpieszyć, bo kłama zapasć może.—Nie mile także dotknięci zostaliśmy, że kraina, w której urodził się Mickiewicz, od której wezwania rozpoczął jedną z najpiękniejszych swych pieśni, boć przypomnijcie sobie początek „Pana Tadeusza“ — kraina ta, przerażająco jest senna, jakby nie rozumiała doniosłości wielkiej swojego udziału. Zbudźcie się, rozradujcie Adamowego ducha! On z górnych sfer patrzy na was, czeka i—może cierpi. Nie zapominajcie o braterstwie, które jest jedną z największych cnót i sił.—Mickiewicz jest kością z kości i krwią z krwi waszej, czy więcej potrzeba słów? Nie sądzę!

Niedawno odezwał się Sienkiewicz, że udział dziewczin naszych, mieszkank wsi, wiele w tej sprawie zrobić może. Dziewice litewskie—do was się zwracam i w wasze ręce oddaję zbyt ważną sprawę, ażebym wątpił o gorliwości waszej i czynnym udziale.—Po zamknięciu składek ma być wydana poszczególna lista wszystkich ofiarodawców, właściwie wykaz w jakiej mierze każda prowincya przyczyniła się do ogólnie narodowego dzieła. Nie zostańcież wy na szarym końcu—gdyż wiecie, aż nadto dobrze, że tego uczynić—nie wolno!

Ciężko się u nas wloką dni. Upały do zmniejszenia, na ulicach miasta tłok i kurz dławiący. „Wystawa inwentarza zakończyła się nadszodowanie dobrze, co, skłoniło kilku członków sekcji rolnej i Tow. wyciągów konnych do podniesienia projektu urządzenia w roku przyszłym wielkiej wystawy rolniczo-przemysłowej Królestwa Polskiego. Ponieważ od czasu ostatniej wystawy przemysłowej minęło lat 14, inicjatorzy sądzą, że projekt przychylnie przyjęty zostanie przez osoby interesowane t. j. przez ziemian i przemysłowców.“ Plac tylko, właściwie park na Koszykach byłby za szczupły. Mają się więc podjąć starania o uzyskanie na ten cel części placu Mokotowskiego.

Z wystawy obecnej przekonaliśmy się dowodnie, że hodowla koni tak wierzchowych jako też roboczych, wielki krok u nas zrobiła naprzód. Przepyszne były okazy bydlę rógatego, to też kupców nie brakło i w dniu zamknięcia wystawy prawie wszystkie konie, krowy i byki sprzedane zostały. Wystawa zakończyła się kwiatowym corso i walką kwiatów, przy licznych udziale publiczności i wielkiej ilości gapiów, widzów zwyczajnych przy podobnego rodzaju zabawach. Powozów było nie wiele, liczba ich dochodziła zaledwie dziesięciu. Nie odznaczały się ani przepychem ani oryginalnością ubrania. To też wielką radość sprawił najprostszy wóz z sianem ciągniony przez parę fornalskich wychudłych koni. Grzmiot okłasków i śmiech wesóły powitał dowcipnisiów, siedzących na wierzchu tej gospodarskiej fury, którzy od razu zaatakowali pierwsze rzędy łóż, zasypując niewiasty deszczem kwiatów. Zabrakło kwiatów przydało się siano—i walka trwała niezmiernie przez ten figiel ozywiona.

Na tem corsie skończył się karnawał wiosenny. Mieszkańcy wsi przybyli na wystawę inwentarza opuścili miasto, kto mógł już się wysunął zagraniec do wód albo w góry, mimo to nie widać uszczerbku ludności, tłumy przepelniają ulice, cukiernie, ogródki i teatru, które zdaje się narzekać na Warszawę nie będą.

Z teatrów ogródkowych największą sobie laskę publiczności zaskarbił Teatr Lwowski, dający przedstawienia w cyrku na Ordynackiej ulicy, gdzie Jaś i Małgosia w połączeniu z operetką osnutą na tle ballady Mickiewicza „Powrót Taty“ niebylewale cieszą się uznaniem. Jaś i Małgosia jest to bajka dziecinna, gdzie wchodzi domki z pierników i czarownice wylatujące kominem w powietrze. — Fantazyę bardzo wdzięczną uzupełnia przesłaniczna muzyka, a świat dziecięcy wesóło klaszcze w dłonie, zainteresowany przygodami Jasia i Małgosi.

W „Powrocie Taty“ nie tak nas fabuła interesuje jak kompozycya muzyczna p. Jareckiego, który stworzył rzecz zupełnie oryginalną, doskonałą pod względem instrumentacji, bogatą w motywa, a wykonaną wybornie. Oczywiście

## SONET II.

Niechaj się serce z milczenia nie budzi,  
Bo gdy ma dusza skrzydłem w świat uderzy,  
Ściga ją mara babelowej wieży,  
Powieką cieniów dzieląc mię od ludzi!...

Głosy mej piersi—bezechowość studzi!  
W koło mnie tłuszcza głuchoniema bieży!  
Odkąd przekleństwo na ludzkości leży,  
Darmo się człowiek marzeniami ludził!...

Osamotniony potomek Babelu  
Uczuć i myśli nie znajdzie słownika!  
Chce się spowiadać—nie ma spowiednika!...

Woła—nie słyszał! Sam—idzie do celu,  
I przejdzie smutny w braci swoich tłumie,  
I nikt go z braci nigdy nie zrozumie!...

Bolesław Leśmian.

## Pierwszy zjazd kobiecej

W CZECHACH.

(Dokończenie).

## Dążenia kobiet różnych stanów.

## Nauczycielki.

Panna Leopoldyna Pölzelbaurowa, nauczycielka z Pragi, zaczyna od tegożebym kurs seminaryum dla nauczycielek odpowiadał takiemuż kursowi dla nauczycieli. Następnie wyraża życzenie, aby specjalne kursa dla nauczycielek robót z rocznych rozszerzono na dwuletnie, przy czem mogły by one objąć wykład gospodarstwa domowego, jaki się obecnie przy szkołach gminnych projektuje. Przez dłuższe przygotowania zyskały by równe prawa z nauczycielkami wykładającymi przedmioty, i języki.

Dalej z powodu, iż wiele kandydatek na nauczycielki dla braku miejsca do seminaryum nie mogą być przyjęte i muszą szukać chleba w innym zawodzie, do którego nie czują powołania,—żąda, aby otworzono przynajmniej jeszcze jeden taki zakład dla kobiet.

Praktyka okazała, że kobiety pracują równie pożytecznie jak mężczyźni na polu oświaty młodzieży, czemuż tedy nie mogą pracować w równej liczbie, dziś bowiem nauczycieli w Czechach jest 14,000, podczas gdy nauczycielek zaledwie 2,000.

Zarząd szkół głównie jest w rękach mężczyzn, kobiety tylko w rzadkich wypadkach dosługują się takiego awansu, a to znowu jest niesprawiedliwie. Aby żadna strona nie była pokrzywdzona, proponuje p. Pölzelbaurowa, żeby dla ubiegających się o wyższe posady zadawać prace konkursowe, a najlepiej opracowany temat decydował by o zwycięztwie.

Za jednakową pracę—jednakową płaca. Pod tym względem kobiety są także krzywdzone pod pozorem, że nauczyciel żonaty musi utrzymać rodzinę, dostaje on co najmniej dwa razy większą pensję, niż nauczycielka, która często także utrzymuje starych rodziców lub rodzeństwo. Zeby starczyć na dom nauczycielka musi zarabiać poza lekcyjami w szkole, przez co traci uczniowie, bo nie ma ona już czasu pracować nad swem dalszem kształceniem.

Pragnie nareszcie, aby stan nauczycielek był tak samo ceniony i szanowany jak stan nauczycieli, na co również zasługuje.

Kończy tem, że zwraca się do innych inteligentnych kobiet, aby słuszne żądania nauczycielek popierały, bo kwestya nauczycielek jest częścią kwestyi kobiecej.

W sprawie urzędniczek przemawia panna Herzma Hemerowa, właścicielka poczty w Kowarowie. Miejsca w urzędach zaczęły zajmować w Czechach kobiety dopiero od lat 25. Pierwszą była telegrafistka panna Bożena Bozdichowa, która na skutek usilnych, kilkakrotnie powtarzanych starań otrzymała posadę 1872 r.

W dwa lata później i urząd pocztowy zaczął przyjmować kobiety najpierw wdowy i córki po zmarłych pocztmistrzach. Z czasem postanowiono na urzędniczki pocztowe przyjmować panny i wdowy po złożeniu przez kandydatki odpowiedniego egzaminu. Wynagrodzenie kobiet w stosunku do mężczyzn jest bardzo skromne, na prowincyi wynosi ono 200 guldenów rocznie, z prawem do emerytury po 20 latach w ilości 90 guldenów na rok, po strącaniu w tym celu wysokiego procentu. Dla tego też większa część urzędniczek zrzeka się tego dobrodziejstwa.

Wobec tego najgorętszym pragnieniem urzędniczek pocztowych i telegrafistek jest, aby co najprędzej stosunki te uregulowane być mogły na równych prawach z mężczyznami wykonywującymi tę samą służbę.

Dodać tu wypada, iż wielką niesprawiedliwością jest prawo stosowane do kobiet w Czechach, pełniących służbę państwową tak urzędniczek jak i nauczycielek, iż po zamążpójściu tracą zajmowane posady, a mogą się o nie ubiegać dopiero jako wdowy. Wskutek tego liczba, wychodzących za mąż z tej sfery jest bardzo mała, bo przy ciężkich warunkach zarobku w ogóle, kobieta nie wnosząca mężowi posagu i nie mogąca mu pomagać w pracy, staje się ciężarem, którego utrzymania wraz z spodziewaną rodziną podjąć się niższy urzędnik nie może.

Tem dziwniejsze jest to prawo dotyczące kobiet czeskich, iż w arcyksięstwie Austriackim ono się nie stosuje. To też Czeszki w tym względzie mają podać odpowiednią petycję do parlamentu.

W imieniu kobiet zajmujących się handlem zabrała głos panna Pawła Wagnerowa, która już raz przemawiała w kwestyi popierania przez kobiety czeskiego przemysłu. Zdolności kobiet do handlu znane są od niepamiętnych czasów, gdy pracowały jako ciche pomocnice swych mężów, ojców i braci. Od niedawna jednak zapragnęły prowadzić handel samodzielnie.

Praca kobiet w handlu jest bardzo miernie wynagrodzona, za szesnastogodzinną—dzienną pracę pobierają uzdolnione sklepowe 20 do 30 guldenów miesięcznie, podczas gdy pensya 40—50 guldenów jest najwyższą, jakiej kobieta dosięgnąć może. Musi się też zawsze zadawać niżej podległym stanowiskiem stosunkowo do mężczyzn zajętych w tymże interesie.

Wobec tego pożądanem było by, aby różnice te w płacy przy jednakowym zajęciu zniesione zostały, oraz zmniejszona w ogóle liczba godzin pracy z 16 do 11 przynajmniej na dobę.

Wzamin za to proponuje panna Wagnerowa, aby do handlu brały się kobiety z większym przygotowaniem niż dotąd t. j. aby przyjmowano na praktykę dziewczęta, które ukończyły kurs szkoły średniej, tak zwanej „mieszczan-skiej“ oraz aby uczennice ucześnie obowiązkowo na wieczorne kursa handlowe.

Wyraża też życzenie, aby wymówienie miejsca pracownicy było z terminem sześciotygodniowym, nie krótszym. Kobietom zaś zajmującym się handlem zaleca, aby zawiązały stowarzyszenie w celu wzajemnej pomocy.

Położenie kobiety rzemieślniczki i żony rzemieślnika przedstawiła pani Bożena Kareszowa z Pragi. Z własnego doświadczenia przytacza ona, jak trudno wyżyć rzemieślnikowi w dzisiejszych czasach, zwłaszcza jeżeli ma dzieci, dla których pragnie nie tylko zaspokojenia potrzeb materialnych, lecz także chciał by im dać naukę, odpowiednią do zdolności. Środki po temu trudno zdobyć, bo ogół popiera obstarunkami większe zakłady i fabryki, pomijając małe warsztaty. Żona takiego rzemieślnika ma ciężkie, nieraz nad siły zadanie do spełnienia; musi bo-

że przez librecistę treść Mickiewiczowskiej ballady musiała być znacznie rozszerzoną, ale tu już nam głównie chodzi o muzykę, która panu Jareckiemu nadaje poczesne miejsce w rzędzie naszych kompozytorów. Ludek się więc bawi, zabija czas jak może,—korzysta z chwil przeszlicznego lata, z blasków słońca, z drzew zieleni i przezroczytych błękitów nieba.

Wiemy z dzienników o jednym czwartkowym przyjęciu u Deotymy, na którym zebrało się dobrane grono literatów w zamiarze uczczenia pięćdziesięcioletniej pracy na polu literackim Adama Pługa. W zamkniętem kółku odbyła się ta uroczystość, pełnemi kielichami wypito zdrowie czcigodnego jubilata, któremu Deotyma wręczyła srebrne porte - cigar z przeslicznym dwuwierszem, w którym mówi o Pługu, pracującym dla wszystkich tylko nie dla siebie.

Jeżeli w podniesieniu zasług niektórych ludzi, w podobnych chwilach ich uczczenia, częstokroć bez pewnej przesady w pochwałach nie można się obejść—w stosunku do Pługa przesady nie było, bo człowiek ten niedocenionym chyba być może, nigdy przecenionym. To też on jeden pozyskał uznanie obozów wszystkich, tych nawet, które w przekonaniach z nim na dwóch stanowczo przeciwnych biegunach stoją.—Najbardziej postępowe pisma wyraziły hołd swój człowiekowi, którego życie, myśli i czyny brylantowej zawsze były czystości. Lecz nie dość tego! są jeszcze uczynki Pługa, o których nie wiedzą najbliżsi, stojący przy nim. Prawica tam nie wie, co daje lewica i—odbierający dopiero czasem szepnie, co i od kogo otrzymał, i zdradzi w ten sposób tajemnicę, na której dnie dojrzyz zawsze ofiarną rękę Pługa.—Nikt od progu jego domu, właściwie drzwi jego mieszkania, bo Pług domu niema—nie odszedł bez pociechy, której szukał, wsparcia, o które prosił. Nie wedle możności lecz nad możność on czyni i dla tego nie masz głowy, któraby się z czią nie uchyliła przed nim, nie masz ust, któreby ze słowem niechęci zwróciły się ku niemu. A jeśli słowo takie posłyszysz kiedy,—brzydkie serce bije w piersi człowieka, które je wymówił, głos jego przebrzmi bez echa, jako syk węża gniewającego się na jasność słońca.

Przyjmij, Szanowny Jubilacie i od nas słowo czci i hołdu, na któreś życiem swoim i czynami zasłużył. Nie opuścił jeszcze Bóg narodu, któremu podobnych do ciebie mężów daje!

??

## SONET I.

Kiedy do nieba jakiś dźwięk wypłynie,  
To zabrzmi światu i w przestrzeni kona!...  
Gdy się woń cudna wyrwie z kwiatów łona,—  
Zadrzy w powietrzu—i zaraz zaginie!...

Więc na wszechświata uroczą świątynie  
Spogląda dusza, tych czarów spragniona,  
Tęskni i wierzy, w marzenia wpatrzona,  
Że piękna chwila wrócić nie ominie!...

A wszystkie dźwięki i światła i wonie,  
Nim ziemia wyda, wszechświat wnet pochłonie,  
I skrywa w głębi swego serca—na dzień!...

Wielki, kto w życia nieuchwytnym pędzie,  
Choćby dźwięk jeden ztamtąd wydobydzie,  
Lub woń, lub jeden promień światła skradnie!...

wiem pomagać mężowi w rzemiośle (np. szewctwie, krawiectwie) służyć za posłańca, aby oszczędzić wydatków na pomocników, prócz tego musi być gospodynią, kucharką, mamką, nianką, boną, szwaczka i nauczycielką swych dzieci, jeśli nie chce zaniedbać ich wychowania domowego, na którym właśnie funduje się wykształcenie serca, bo szkoła sama w tym kierunku wystarczyć nie może. Zwraça się tedy do czeskich patriotów z prośbą o dostarczenie zarobku biednym rzemieślnikom, którzy samodzielnie uczciwie chcą pracować, a nie popieranie zamówieniami fabrykantów na wielką skalę, którzy przyczyniając się do wyzysku rzemieślników, sami się bogacą nadmiernie.

O położeniu sług mówi panna Karolina Sładka służąca z Pragi. Przedstawia ona, że młode 14 letnie dziewczę, idące do służby jest jeszcze dzieckiem, nie ma stałych zasad, a zatem, aby panie otoczyły je opieką i pokierować niem chciały. Pożądaniem było by w ogóle, aby powrócił starodawny zwyczaj, gdy służba w domu uważana była za członka rodziny. Wtedy z pewnością stosunek służby do państwa uległ by zmianie na korzyść. Radzi też, aby panie nie skapiły służbie pożywienia, a tem samem ustrzegają się od drobnej kradzieży, a słudze nie dadzą pokusy do złego. Zwraça się też do panów, aby nie starali się wyzyskać położenia i nie myśleli, iż nietylko czas służącej lecz i cześć jej od ich kaprysu zależy. Żąda, aby wszelkie przekroczenia w kierunku niemoralności karane były surowo.

Pragnie też ograniczenia pracy o tyle, aby czas po wydaniu wieczery należał do służki, żeby ona obszyła się lub coś przeczytać mogła; dalej aby w niedzielę i święta służąca mogła uczęszczać do kościoła, a choć dwa razy na miesiąc miała czas do wyjścia.

Od swych współkoleżanek wymaga, aby uczciwie pracowały, jak córki domu, aby nie nadużywały zaufania pań pod żadnym względem, żeby starały się kształcić przez odpowiednie czytanie, oraz żeby zarzucały zgrabny zwyczaj przesadzania cię w strojach. W zamian tego radzi wspierać potrzebującą rodzinę lub pomyśleć o swej starości. Występując z zasady, iż fabrykanci opłacają pewien procent na zapewnienie emerytury swym pracownikom, proponuje, aby państwo do wspólni ze służką opłacali choćby najmniejszy procent, który by z czasem utworzył fundusz emerytalny dla starych niezdolnych do pracy sług.

Zaleca też popieranie stowarzyszenia „Zasztita“ (opieka), które daje służącym będącym bez miejsca, oraz przybyłym z prowincji przytułek i te ostatnie uczy gotować, pracować, prasować, czem by przysposabia do objęcia obowiązku.

Dolę robotnic fabrycznych i ich dążenia przedstawia pani Aloiza Irvuszakowa z Pragi. Kobiety dopiero od lat 50 zaczęły być w Czechach przyjmowane do fabryk, gdzie polecono im obsługę maszyn. Pracownice były bardzo pożądane ze względu, iż zadowolniając się niższą płacą, przyczyniały się do oszczędności na korzyść właściciela. Obecnie zastępy kobiet pracujących wzrastają rok rocznie, a równocześnie wyzysk sił ich i zdrowia.

Najędźniej wynagradzane są szwaczki, którym przedsiębiorca składu bielizny za uszycie tuzina oksfortowych koszul męskich (używanych przez robotników) płaci 65 — 80 krajcarów razem z obrobieniem dziurek. Jeżeli odliczyć wydatki na potrzebne ku temu nici, oliwę, od czasu do czasu złamaną igłę, to pozostaje szwaczce 62 krajcary za półtora dnia pracy, jeśli szyje od 6 rano do 9 wieczorem. Za 12 kólnierzyków płaci 9 do 12 krejcarów, 12 koszul damskich 65 do 70 krejcarów. Przy tem każda szwaczka musi złożyć 5 guldenów zastawu. Gdy tedy taki przedsiębiorca ma 60 pracownic, to staje się panem obrotowego kapitału w ilości 300 guldenów który wkłada w interes, nie płacąc żadnego procentu. Ale nie na tem koniec wyzysku.

Kroczyni, odbierająca robotę, znajduje w niej zwykle mnóstwo wad, za które strąca niemilosiernie, o ile robotnica nie opłaca się jej, choćby

w postaci imieninowego prezentu, wynoszącego cenę paru guldenów.

Położenie innych robotnic fabrycznych nie jest lepsze, z tą różnicą, iż o ile mają do czynienia z majstrami i współkolegami są jeszcze narażone na groźące im niebezpieczeństwo spowodowania z drogi moralności.

Aby złemu zapobiedz pracownice żądają: 1) aby dozór nad robotnicami fabrycznymi powierzony był obok inspektora fabrycznego inspektorce, która by łatwiej mogła wnikać w potrzeby kobiet, bo one względem niej mniej by się krepowały, 2) aby warsztaty kobiece oddzielone były od męskich, 3) aby skasować wszelkie przedsiębiorstwa szycia bielizny, wyrobu pończoch i t. p. to zarobek przejdzie w ręce samych wykonawczyń, 4) aby podwyższyć płacę mężczyzn o tyle, żeby mogli utrzymać swe rodziny bez pomocy pracy żony, która, idąc do fabryki na cały dzień, zaniedbywać musi dom i dzieci, 5) aby zapewnić utrzymanie wdowom i sierotom po robotnikach, przez odpowiedni fundusz emerytalny tak jak mają zapewnione wdowy i sieroty po urzędnikach, i oficerach, 6) aby bezwzględnie zaniechać dla kobiet wyczerpującej zdrowie i siły pracy nocnej oraz w dzień świąteczne.

Wtedy dopiero robotnice odetchną swobodniej odżyją i będą mogły pomyśleć o kształceniu umysłu i uszlachetnieniu ducha przez odpowiednie czytanie, odczyty, a nawet kursa wieczorne.

Nakoniec przystąpiła do ostatniej rozprawy panna Wiktorya Szmitowa nauczycielką z Mielnicy przedstawiającą „Środki ku osiągnięciu celów przez zjazd wytkniętych.“

Najpierw tedy radziła ona, aby wszystkie Czeski chcące pracować nad popieraniem postępu kwestyi kobiecej zebrały się razem w celu wzajemnego poznania i wzajemnej pomocy, co się łatwiej osiągnąć da przez założenie „Klubu Czeskosłowiańskich kobiet.“

Przy klubie należało by utworzyć bibliotekę prócz innych, wszelkich dzieł traktujących w kwestyi kobiecej, oraz czytelnię onych, przez co rozwijała by się w dalszym ciągu myśl s. p. Wojty Naprstka, który położył fundament podobnej biblioteki przy swem muzeum.

Praca, którą by przedsięwzięły kobiety dała by się podzielić na pięć działów:

1) humanitarny, w którym starać się będą o wychowanie podrzutków na uczciwych członków społeczeństwa i wykonywać inne plany w zakres filantropii wchodzące.

2). Kulturalny—prac nad wychowaniem dziewcząt z naciskiem na język ojczysty, ku czemu najlepiej posłużyłaby pensya czeska, jakiej dotąd w Pradze nie ma, a jaką założyła i prowadziła kiedyś niezapomniana polka Honorata z Wiśniowskich Zapowa.

3). Pod względem socyalnym klub powinien się domagać prawa głosowania dla kobiet, przez co zdobyły by wpływ na losy kraju, oraz popierać każdą akcyę, która dążyła by do uniknięcia wojny, a ustalenia pokoju. Prócz tego klub powinien by pośredniczyć w wyszukiwaniu pracy.

4). W dziale patriotycznym budzić wszelkimi siłami ducha narodowego.

5). Nakoniec wydział ekonomiczny miał by za zadanie moralnie i materyalnie popierać handel i przemysł współrodaków.

Naturalnie, że wykonanie tego planu wymagało by wielkiego nakładu pracy i sił, lecz żadne trudności nie powinny zrażać wytrwałych pracownic, które mają powoli lecz stale zdążyć do celu.

Klub ten musiałby się mieścić w własnym domu, gdyż oprócz czytelni i biblioteki, gdzieby się schodzić mogły mieszkanki Pragi, powinien jeszcze mieć lokal gdzieby się mogły zbierać kobiety przybyłe z prowincyi, którym by klub jako swym członkom ofiarowywał schronienie podczas chwilowego pobytu w mieście. Klub taki założyć by należało na pamiątkę pierwszego zjazdu kobiecego w domu pod wezwaniem zasłużonego Franciszka Palackiego, którego imię uczyli by zarazem kobiety w ten sposób.

Wyliczono, że z 7,000,000 ludności Czech w ogóle, gdyby tylko 1,000,000 kobiet ofiarowało po 10 krejcarów, zebrano by 100,000 guldenów dostateczne na budowę domu klubowego.

Wniosek ten jednogłośnie przyjęto, a profesor Kurz (który przemawiał już o organizacji pracy ekonomicznej), zaproponował aby projekt natychmiast w czyn wprowadzić i obecny komitet pań, który się tak świetnie z urzędzaniem zjazdu wywiązał, zaprosić do przedsięwzięcia nowej pracy.

Panie Teresa Friedlądrowa, Joanna Daneszowa, Leonora Kurzowa i Marya Dworzaczekowa wybór przyjęły, poczem pani Danerzowa w imieniu wszystkich podziękowała za położone w nich zaufanie.

Nakoniec niżej podpisana pozdrowiła siostry Czeski w imieniu Polek, objawiła swój podziw nad postępowaniem ich pracy i życzyła stokrotnej pomysłowości na przyszłość. Zalecając zaś wzajemne poznanie się przeczytała referat filantropijnej działalności naszych kobiet.

Nareszcie p. Prohazkova podziękowała licznie zebranej publiczności za uczestnictwo i zainteresowanie się sprawami kobiecemi, poczem obecni wolali: „Na zdar“ (pomysłowości) pragnieniom i dążeniom czeskich kobiet.

Gdy burza oklasków ucichła, zaintonowano rzewną pieśń „Kde domów mój?“ którą podchwyciły setki głosów.

W trakcie trwania zjazdu odczytywano licznie nadechodzące depesze i listy z Czech, Morawy, Krakowa, Lwowa, Poznania i od Czeszek z Ameryki.

Autorka.

## PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Salii Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostający pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

Żelazny kolos Rzymu nie spoczywał na kwiatach poezyi. Był on raczej mężem czynu, a poezyi jego trzeba szukać, jak powiada Fryderyk Schlegel, „w walkach cyrku, w tych zapasach, w których gladiator, broniąc się od śmierci, powinien był padać i konać z wdziękiem, jeżeli chciał zyskać oklaski ludu; w amfiteatrach wreszcie, gdzie później tak często rozlegały się wrzaski tłumu przeciwko znieprawionej sekcie „Lwy, lwy na chrześcijan!“ Mitologii też Rzymu brak tego czaru baśni poetycznej, który spływa z wyżyn Olimpu greckiego; jest ona bardziej praktyczną, obrzędową.

Gdy jednak na twardą niwę życia politycznego Romy padły nasiona kultury greckiej, wyrosły też na niej kwiaty poezyi, a kwiaty te, choć przesadzone z obcej ziemi, w rodzime przystroili się barwy. Nie wdając się w szczególne porównanie poezyi rzymskiej z grecką, to tylko powiedzieć mogę, bo to nas na razie interesuje, że w odczuciu przyrody Rzymianie poszli dalej od Greków.

Lukrecyusz spojrzął po raz pierwszy w oblicze natury oczyma poety-filozofa. Jego dzieło „De rerum natura“ to zarazem traktat z filozofii, przyrodoznawstwa i poemat natury. Dusza autora w kontemplacji głębokiej dumy o wielkich prądach elementarnych, które płyną w niezmiernym potoku życia, a obejmują

jąc całokształt jego, wzlata aż do tych wyżyn, na których natura bóstwa ma ukazać mu oblicze swoje. Myśliciel ten po raz pierwszy zbliża się do przyrody, jako do źródła, z którego ma tryśnić ożywczy strumień prawdy, i wypowiada wielką, a nową na owe czasy ideę:

„Aby zniszczyć obawy przesądu,  
„Ciemność głupstwa, nie słońca trzeba, lecz oglądu  
„Natury.....“

(Przekład J. Szujskiego).

W poznaniu przyrody widzi Lukrecyusz źródło mądrości:

„Które nam daje ciało wolne od bólesci,  
„I duszę, gdzie się płonna obawa nie miesci.“

(Przekład J. Szujskiego).

A dalej, pograżając się w zadumie poetycznej, obiecuje człowiekowi, że na łonie przyrody znajdzie spokój i szczęście:

„Zawsze murawę świeżą możesz mieć i drzewa,  
„Czyste źródło—a wdzięków nie braknie w na-  
[turze,  
„Gdy wiosna hojną dłonią rozsypuje różel...“

(Przekład J. Szujskiego)

Można się zgodzić, lub nie zgodzić na poglądy filozoficzne Lukrecyusza, niepodobna jednak nie przyznać, że praca twórcza poety zbliżyła duszę jego do głębin przyrody, odkryła jej wiele tajemnic, dała niezmierną subtelność w odczuwaniu pojedynczych piękności ziemi, uskrzydliła fantazję, uświadomiła uczucie. Przed wzrokiem Lukrecyusza natura odkryła swój majestat królewski. Poeta wznosi oczy „na niebios budowę wspaniałą,“ na „stropy gwiazdziste,“ na „słońce, wiodące dzień z nocy gościncami wiecznemi.“ Ten śpiewak-filozof zdołał odczuć tętna żywiołów, pochwyć szeroki oddech przyrody:

„Matko Rzymian, rozkoszy bogiń i człowieka,  
„Wenero, ty od niebios gwiazdzistego wieka  
„Spuszczasz płodność na morza, które łodzie  
[krają,

„Na lany, co urodzaj ludziom bujny dają —  
„Przez ciebie wszelki rodzaj zwierząt zapłodzony  
„Chwyta strumienie światła w dzień jasny  
[i wonny—

„Przed tobą nikną wiatry, goniąc czarne  
[chmury,  
„Ziemia zielenią, niebo stroi się w lazury,  
„Ocean ciebie wita falami drżącemi...“

(Przekład J. Szujskiego).

Był poeta ten, jak twierdzi słusznie Fryderyk Schlegel, śpiewakiem i malarzem natury, najwyższym między starożytnymi. W pieśni jego nie tylko szemrzają słodko strumienie, ale też odgrywają się niekiedy wielkie dramaty w przyrodzie: ziemia drży, skały się wałają, grom uderza po gromie:

„Śłuchaj teraz, jak groźne powstają pioruny,  
„Których moc wieże zamków na powal wy-  
[wraca,

„Domy z węglów wysadza, rozrywa i kruszy,  
„Pomniki wielkich ludzi, jak proch, zmiata  
[z ziemi...“

„Gdy w powstającej burzy grać tajemnie poczną  
„Żywioły piorunowych błyskawic i grzmotów,  
„Ściągają naprzód w koło gestych chmur gro-  
[mady

„I całe niebo czarnym powlącą całunem.  
„Rzekłbyś, że sam Acheron zbył się swych cie-  
[mności

„I niemi wszystkie niebios napełnił przestrzenie.  
„Noc okropną i widma wszelakie przestraschu  
„Wiszą nad ziemią...“

(Przekład Karola Mecherzyńskiego)

Równie potężnie odtwarza poeta trzęsienie ziemi:

„Wałę się wtedy stare zręby jej budowy,  
„Kratery wewnętrznych otchłani i góry podziemne,  
„Słychać w głębi huk głuchy, jakby grzmot da-  
[leki...“

„Pęka skorupa ziemską—a z strasznym wybu-  
[chem  
„Otwierają się głębie przepaści bezdennych.“

(Przekład Karola Mecherzyńskiego).

Czasami refleksja filozofa i badacza przyrody ostudza zapal poety, zapomina się jednak o tem po chwili, gdy nadejdą ustępy, tchnące świeżą wonią poezji.

Mniej filozofem, a więcej lirykiem był Katullus, więcej też odczuwał, niż rozumiał przyrodę. Powiało nań tchnienie poezji lesbijskiej Greków. Pieśń jego wre szalem miłości, chwytającej żywy oddech natury, która rozwesela i rozmarza. Poeta żąda uścisków wiosny łagodnej, pieszczoty zefiru z równym upragnieniem, jak całusów kochanki. Uczucie sympatii dla przyrody wywołuje w duszy jego niezmiernie wdzięczne, a pełne nastroju obrazy. W obrazach tych nie ma tej siły, którą widzimy u Lukrecyusza, ale za to więcej wdzięku i słodyczy.

Słodycz i wdunek Katullusa zamienia się u niektórych późniejszych poetów rzymskich, szczególnie u Tibullusa i Propertycyusza w młłą, sentymentalną elegijność. Tibullus opiewa słodycze życia spokojnego, bez burz, srod ciszy wiejskiej na łonie przyrody; brak mu pragnień żywszych, brak uczuć namiętnych, brak też głębszego odczucia natury. Ukochał ją tylko w skromnym plonie, wystarczającym na zwykłe potrzeby życia, ukochał w jej ciszy łagodnej, która spokojne szczęście zapewnia.

Również beznamiętne, elegijne uczucie daje przyrodzie Propertycyusz, kreśląc wizerunki jej barwami mdłemi:

„Patrz, jak natura ziemię w żywe farby stroi;  
„Patrz, jak bluszcz bez uprawy wspina się po  
[płotach,

„Jak ta jezówka buja w tych samotnych gro-  
[tach!]

„Kto ten strumyk nagina po łąkach tak mile?  
„Kto te konchy na brzegu ustroił w farb tyle?  
„Kto te ptaszęta uczył tak miłego pienia?  
„Zrównałż kiedy sztuka dziełu przyrodzenia?“

(Przekład Euzebjusza Stowackiego).

Wiek Augusta miał też poetów znakomitych. Dość przytoczyć imiona Wergiljusza, Owidyusza i Horacyusza.

Wergiljuszowi Teokryt grecki był mistrzem; na wzór jego pisał sielanki. Później stworzył poemat dydaktyczny o ziemiaństwie (Georgiki), a wreszcie nieśmiertelną Enejdę.

W Georgikach dydaktyzm ginie często w obrazowości i odczuciu przyrody. Poeta zastanawia się głębiej nad tajemnikami natury, pragnąłby zbadać istotę wszechrzeczy: „Szczęśliwy — powiada — ten, kto dociekl rzeczy przyrodzenia.“ Błaga on boginie Parnasu, aby mu „gwiazd tajemnej drogi ukazały zakrety,“ aby mu dały poznać:

„Dlaczego się ćmi słońce, mieni nocy zorze,  
„Czemu się trzęsie ziemia, czemu wzdyma mo-  
[rze,

„Czemu, wzdęte wysoko, na odwrót opada?  
„Jaka spóźnionej nocy wstrzymuje zawada?  
„Lub czemu słońce, kiedy rzeki wiążą lody,  
„Tak się śpieszy zanurzać w oceanu wody?“

(Przekład Euzebjusza Stowackiego).

A gdyby mu „krew oziębla, zmysł pojęcia tępy“ nie dozwoliły zbadać tych tajemnic natury, poeta pragnie przynajmniej zachwycać się jej

wdziękami, pragnie rozkochać się w lasach, strumieniach, dolinach i gajach zacisznych. Wszystkie władze duszy śpiewaczej wyrwyją się ku urokom natury.

Tu i owdzie odzywa się w pieśni poety serdeczne przywiązanie do łanów ziemi ojczystej, do swego zakątka rodzinnego. Posłuchajmy jak szczerą i głęboką nutą przemawia to uczucie w „Bukolikach.“

„Szczęśliwy! ty na brzegu znanego strumyka,  
„Lub u źródła, gdzie z młodu piłeś słodkie wody,  
„Szukać będziesz wśród letnich upałów ochłody,  
„Tu przy płocie, gdzie, kwiatów przynęcone

[wonią,

„Hybli pszczoły na wierzbie, miód zbierając,  
[dzwonią,

„Do snu słodkiego swoim zachęca cię brzmie-  
[niem;

„Ciebie, pod skałą robiąc, kmięcz ucieszy pieniem,  
„Dla ciebie gruchać będą miłośne gołębie,  
„I grzywacz się chrapliwy odezwie na dębie.“

(Przekład Józefa Lipskiego).

Ile malowniczości i nastroju w tym skromnym obrazku przyrody swojskiej, jaka wieje z niego tęsknota serdeczna i miłość nieklamana! Krzewy rodzinne, strumyki i gaje mają głos serca, którym wzywają człowieka, aby srod nich pozostał.

W Enejdzie napotykamy też wizerunki przyrody, niezwykle barwne w opisowości i łączące w jednym harmonijnym nastroju życie człowieka z życiem natury:

„Noc była i słodkimi krzepiły się wczasy  
„Strudzone ciała, milczą i morza i lasy,  
„Pół biegu dokończają świetnych gwiazd orszaki,  
„Ucichły pola, trzody, różnopióre ptaki,  
„I co po przezroczystych jeziorach się kryje,  
„I co po wsiach, drzewami otoczonych żyje,  
„Wszystko to, snem ujęte, pod milczącym cie-  
[niem

„Koiło serce miłem trudów zapomnieniem.“

(Przekład J. Szujskiego).

Wergiljusz był poetą duszy ludzkiej, zajrzał głęboko w jej tajniki i wydobyl uczucia subtelne, często półświadome, dotąd nieznanne. Przez to subtelne odczucie serca ludzkiego spoglądał on na przyrodę, tchnął w nią ciepło tego serca, ożywił jej obrazy i zjawiska. Wergiljusz lubił żyć z naturą w obcowaniu serdecznem, znał ją dobrze i rozkoszował się jej czarami. Poeta to nawskroś podmiotowy; spogląda on na świat cały przez pryzmat duszy własnej, z której płynie ku przyrodzie fala ukochania, a w ukochaniu tem zrodziło się głębsze odczucie natury.

Owidyusz w swych „Metaforach“ w obrazowości plastycznej rozprasza urocze półcienia legend mitologicznych. Wspaniały, *naprzykład*, wizerunek potopu wre nieukróconą potęgą żywiołów. Wprawdzie żywiołami temi porusza dłoń bóstwa, nie odejmuje im to jednak ogromu i potęgi życia. Wysoce poetyczna legenda o matce — ziemi, która po potopie z twardych kamieni twardego ród ludzki rodziła, barwne opowieści o powstawaniu światła z chaosu, cały wreszcie szereg metafor, owianych tchnieniem poezji, jak *naprzykład*, przemiana po śmierci Juljusza Cezara w gwiazdę promienną, — wszystko to daje pocie materiał do tworzenia obrazów, potężnych w swej plastyce, gdzieniegdzie wspaniałych i podniosłych, a wszędzie drgających życiem i poezją.

Owidyusz był też śpiewakiem miłości, miłości, która oddycha żywiołami natury i rozkosz w jej czarach znajduje. Przyroda jest dla twórcy „Metafor“ tem drzewem lauru, w który zakłęła urocze swe ciało ścigana przez Apollina Dafne. Jak ów bożek, czuje on w zapale miłosnym „bicie serca w zdrewniałem już łonie.“ W innej znów pieśni żal poety „przywraca czulość obumarłej naturze.“

Owidyusz w podmiotowości swej do Wergiljusza jest podobny, ale mniej ma od niego siły poetycznej, mniej głębokiego nastroju, mniej barw malowniczych.

Bardziej satyryczna, niż marząca muza Horacyusza rzadziej zwraca się do przyrody, częściej do życia ludzkiego, które biczem sarkazmu karcici. Gdy jednak poeta wybiegnie na łąki szerokie, wnet odczuwa jędrny, czysty oddech natury, i w żyłach jego grają zdrowe jej soki. Chętnie zrzuca z szat swych pył życia miejskiego i biegnie „w szum puszczy, w łąk świeżość, w zboża falowania, „na skały, obrosłe mchem i w chłodne gaje,“ lubi „z przyrodą żyć wesole,“ dobrze mu w obcowaniu z nią, lekko i swobodnie. Nie rozmarza go ona, ale orzeźwia, odmładza mu ducha.

Dusze, niezadowolone z panującego stanu rzeczy, brzydzące się zgnilizną wielkiej Romy, szukały schronienia nad brzegiem mórz, na łonie natury, ożywczych, orzeźwiających jej tchnień pożądaną. „Nie sama tylko moda“—powiada Nissen, „przykuwała Rzymian do morza i to przykuwała największych potentatów, zaczynając od Scypiona Afrykańskiego i jego szlachetnej córki Kornelii, aż do Augusta, Tyberjusza i ich następców, skoro tylko siły ich słabły w walce na *forum* rzymskim. Delikatny powiew wiatru oświeżał ich rozpalone czoła, jasne barwy, czarowne wizerunki radowały ich oczy, a widok niezmiernie powściągliwego wód dla ludzi tych, zrodzonych do panowania, przedstawiał podobieństwo do ich własnych dążeń.“

Ci, którzy byli władcami ducha: uczeni i poeci, szukając ukojenia na łonie przyrody, czerpali z niej skarby twórczości. Plinusz Młodszy oddaje się prawdziwie poetycznemu marzeniu w samotności, w cieniu lasów, z duszą, wsłuchującą się w szum strumyków, lub spoglądającą z zachwytem i rozmarzeniem słodkim na czary krajobrazu. Seneka znowu, twórca dzieł, przejętych nawskroś panteizmem, czuje nawet nieznaną dotąd w starożytności pociąg do dzikich widoków przyrody: do pustyni, do lesistych gór Brucei i Lukanii.

Zamiłowanie Seneki do groźnych widoków natury jest zjawiskiem wyjątkowym w piśmiennictwie rzymskim. Myśl i uczucie Rzymianina, przytulone do błękitów nieba i morza, do widoku gajów uroczych, do cudownej gry światła, z trwogą spoglądały na groźne szczyty Alp. Wesole równiny, jasne od promieni nieba południowego, błękitne obszary wód morskich, drgające uroczą grą kolorów—oto co dawało synom Romy upojenie i pozwalało im zapomnieć o troskach życia ziemskiego. Kult przyrody dzikiej, kult gór i pustyni—to wytwór epoki znacznie późniejszej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NA ŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas - Junoszę.

(Dalszy ciąg).

Wino krążąc w żyłach Romana krew mu zagrzało; czuł się silniejszym, ale wraz z powrotem sił, cierpienie uspięte na chwilę ozwało się potężnie, ovladając jego istotę.

Obejrzał się wokoło, objął okiem znaną miejscowość, gdzie tyle razy widywał Janinę i zakrył oczy dłonią.

— Boże! Boże!... — szepnął z rozpaczą.

Ale nie dano mu długo oddawać się rozmyślanii. Posłyszał w przyległym do werandy salo-

nie głosy zmieszane i doszły go wyraźnie słowa wymówione przez hrabinę:

— Wraca od narzeczonej... dobrze musi być do nas uprzedzony!...

— Ależ mam!... on z Janiną nie widział się wcale, a ona już pojechała...—tłómaczyła łagodnym przez wzruszenie głosem Kamilla.

Pani Żarnowiecka stanęła we drzwiach, oko w oko z Romanem.

— Panna Janina... — rzekł ten ostatni składając ciotce lekki ukłon, — panna Janina już nie jest moją narzeczoną... zwróciła mi słowo...

Mówił głosem spokojnym, ale coś w tym głosie czy w słowach uderzyło hrabinę więcej niż wiadomość, której się nie spodziewała.

— Al!...—zawołała.

Spojrzała na Romana i trochę jakby zakłopotana ukazała mu fotel, sama zabierając miejsce na kanapce trzcinowej.

Tymczasem Kamilla szeptała matce:

— Bądź dobrą dla niego, mam!... on nie szczęśliwy... i chory!...

Hrabina uczyniła ruch zniecierpliwienia ale czuła się ciągle dziwnie zakłopotana. Już teraz nie Roman ją dziwił, tylko zastanawiał ten niepojęty wypadek... Ona mu słowo zwróciła? dlaczego? co to miało znaczyć?

— Ja zawsze twierdziłam, że ona jakaś niezrozumiała... — rzekła. — Zwróciła ci słowo, dla czego? Prawda, że między nami—między mną a nią—zaszło małe nieporozumienie... ale tak samo nie pojmuję dla czego dom mój opuściła, jak to, że z tobą zerwała... Strasznie niepodległa, buntownicza natura...

— Mam!...—szepnęła Kamilla.

Roman, zagłębiony w fotelu, na którym mu ciotka usiąść kazała, podniósł się teraz zwolna.

— Daruje ciocia...—rzekł,—ale nie jestem dziś zdolny do jakiegokolwiek dysputy...

— Wierzę ci, *mon cher*... Czuję, że nie musi ci być wesoło i tembardziej...

— Romku!—wsruciła szybko Kamilla. — Czy wiesz, że pan Juliusz jest u nas?

Kiwnął głową na znak potwierdzenia.

— Każę go tu poprosić, dobrze?

— Jak chcesz...

— Po co, Kamilko?—rzekła hrabina, krzywiąc usta.—Taka nudna figura. A zresztą, ty wiesz, że on z nami się nie ubawi...—dodała podkreślając z umysłu ostatnie wyrazy.

Kamilla była jak na mękach; w każdym prawie słowie matki tkwiła pełna ironii aluzja, a ona czuła czem to musiało być dla Romana, który siedział znowu zagłębiony w fotelu, zatoniony w myślach a może nawet nie zwracający uwagi na to co się w koło niego działo.

Na szczęście dano znać, że wieczerza na stole, uczyniło to małą dywersję tak bardzo potrzebną w tej chwili. Ku wielkiemu zdziwieniu Kamilli, służba, zapytana o Juliusza, oznajmiła, że już ze dwie godziny jak wyszedł z pałacu, mówiąc, że jak konie jego nadejdą niech podążą za nim.

— Proszę! — odezwała się nieco urażona hrabina.—Ten idyota zdobył się na krok samodzielny! Czuję jaki tego powód!... *Cet imbécile!* obraził się na mnie... za... za...

— Czy pani Natalia przyjdzie do stołu? — wtrąciła szybko Kamilla.

— Nie. Odjeżdża jutro, pakuje się. Prosiła, żeby ją wytłomaczyć... — odrzekła zimno hrabina.

Roman, pomimo serdecznych próśb Kamilli nie jeść nie mógł. Był ciągle milezący i co chwila pytał o konie.

Pani Żarnowiecka, dowiedziawszy się, że Roman dał swój powóz pannie Krękiej i Janinie, uśmiechnęła się pogardliwie, ale powstrzymała się od uwag złośliwych.

— Powiedz mi,—rzekła jednakże do córki,—po co ona właściwie pojechała do tego Lwowa?

Kamilla westchnęła z rezygnacją, spojrzała na Romana, i widząc, że w żaden sposób tej kwestyi zagadać nie potrafi:

— Nie wiem na pewno, mam!; — rzekła,—sądzę, że zechce poszukać sobie jakiej pracy...

Pani Żarnowiecka zachnęła się niecierpliwie. — Egzaltacja!—szepnęła. — Mój Romku...—

dodała,—czy ty także gniewasz się?... Przecież ja nie chciałam doprowadzać do tej ostateczności... Cóżem winna, że moje dobre rady zostały w ten sposób przyjęte?...

Czego się Kamilla bała najwięcej, to wybuchu ze strony Romana; znała go, że był skłonny do uniesień a co by nastąpiło, gdyby uniósł się na jej matkę, która mniej od niego panować nad sobą umiała! Biedna Kamilla! w życiu całym nie przeszła przez podobne męki...

Tymczasem Roman milczał; oczy miał utkwione w talerz, twarz bladą, bez wyrazu i milczał... a Kamilla ciągle się bała.

— Milczysz?—ciągnęła dalej pani Żarnowiecka a w głosie jej czuło było coraz większą irytację.—Powiedz mi, że kto milczy — potwierdza a więc potępiasz mnie, pogardzasz? Pięknych rzeczy doczekałam się na starość!

Roman zwrócił białą swoją twarz w stronę ciotki. Kamilla zadrżała...

— Nie, ciociu... — rzekł głosem bezdzwięcznym,—nikogo ani potępiam, ani nikim nie pogardzam... stało się... dobrze się stało... bo widać taki musiał być koniec.

Obie, matka i córka z przestachem spojrzwały na Romana. Ten nienaturalny spokój, ta apatyczna rezygnacja, budziły w nich obawę nieokreśloną? Czy Kamilli napełniły się łzami; hrabina spuściła nieco z tonu.

— No, no!—rzekła, — nie trzeba znowu brać rzeczy tak tragicznie... Koniec! kto wie jeszcze jaki może być koniec!...

W tej samej chwili dano znać, że konie Romana nadeszły. Nareszcie! Zerwał się jakby nowe życie w niego wstąpiło i chciał jechać natychmiast.

— Niepodobna! — zawołała Kamilla, — konie musza być ogromnie zmęczone.

— To nic... pojedą powoli.

— Romku, proszę cię, zatrzymaj się trochę; nie będziemy cię nudzić rozmową... Zanocuj, twój pokój czeka gotowy.

Pani Żarnowiecka rozczuliła się nagle. Co pomyśli pan Bronimirski i księżę gdy zobaczą Romana w tym stanie? Prócz tego—choć nie przyznała by się nikomu do podobnej słabości—sumienie jakoś dziwnie odzywało się w niej, jakby z wyrzutem, że ona przecie trochę winna wszystkiemu...

— Zrób nam tę łaskę, *mon cher!* zanocuj!—prosiła.—Czyż mój dom taki wstrętny się zrobił dla ciebie?

— Konie zmęczone, a furman umiera z głodu,—rzekła Kamilla, która była wyszła na chwilę a teraz wróciła z tą wiadomością.—Mówię ci Romku, że jechać nie możesz, — dodała.—A zresztą nie zrobisz nam tej krzywdy, żeby nas tak nagle porzucił?

Roman wziął się za głowę; literalnie czuł jakby mu kto éwieki wbijał do mózgu.

— Nie mogę... nie mogę!...

Kamilla skinęła na matkę, żeby nie nalegała dłużej.

— Dobrze więc; niech tylko Wojciech coś przekąsi... wszak pozwolisz? Ty sobie spocznij tymczasem w swoim pokoju.

Pocziwa, miała nadzieję, że Roman gdy się znajdzie w swoim pokoju, położy się i zaśnie, ale w tem spotkał ją zawód.

— Dobrze, — odrzekł Roman z prawdziwym wysiłkiem, ulegając w części przymusowi. — Niech Wojciech się posili, kiedy głodny... Tymczasem... panie pozwolą, że zamiast do pokoju pójdę do ogrodu...

Cóż było robić! panie musiały się zgodzić.

— Dziwny człowiek!—rzekła hrabina do córki po jego odejściu.—Jeszcze nigdy takim go nie widziałam... Żeby tak bardzo wziąć do serca tę bagatelę... mężczyzna?

— Mama chyba nie wie jak bardzo on kocha Janinę? — tłumaczyła Kamilla łagodnie, chcąc matkę nakłonić do wspaniałomyślności. On bardzo cierpi, bardzo jest nieszczęśliwy... Życie ma złamane... Tak bardzo cierpi, biedny...—dokończyła ze łzami w głosie.

— Życie złamane? — powtórzyła hrabina. — Och, faza! miłość zawiedziona życia nie łamie... A zresztą, czemuż ta głupia tak bez sen-

su się znalazła? *Elle fait des façons!*... proszę ja kogo! jak udzielna księżniczka!

Niepowściągliwa Kamilla, pomimo, że sobie obiecała, że będzie łagodna i dobra, żeby matki nie drażnić, wytrzymać nie mogła.

— Al... ja bym sama inaczej nie postąpiła! — Jeżeli komu od rana do nocy powtarzają, że jest kokietką, że złapała sobie bogatego męża—dla pieniędzy—a to nie jest prawda, trzeba pokazać ludziom, że się ma godność osobistą!

Wyrzuciła to jednym tchem i uciekla z pokoju, bojąc się sama siebie, żeby jej się coś jeszcze przykrzejszego nie wyrwało.

— *Tiens, tiens!*... — szeptała do siebie zirytowana pani Żarnowiecka.

Roman wyszedł do ogrodu, ale nie stało mu siły na dalszą przechadzkę; stanął niedaleko domu, na mostku, oparł się o baryerę i myślał tylko o tem, żeby coprędzej znaleźć się już w powozie, w drodze do domu. Czuł, że ruch jakikolwiek, zmiana jakakolwiek, ulgę mu przyniesie; tak mu się przynajmniej zdawało. Jak zwierzę ranione, któremu ból dokucza ucieka, sądząc, że ból zostawi za sobą, tak samo i on uciekał machinalnie, instynktowo bez zastanowienia. I to jedno tylko w nim zostało: uczucie szalonego bólu—nie zdawał sobie sprawy czy ból był fizyczny, czy tylko moralny—i pragnienie ucieczki... Po za tem nic zgoła.

Księżyc świecił w całej pełni, oblewając łagodnym światłem wszystkie przedmioty w około, które wydawały się miększe, pełne uroku; cisza panowała w naturze, żaden listek nie poruszał się na drzewach; wszystko spało w spokoju i harmonii jakiej nie zazna chyba żadna ludzka dusza. Bo dusze ludzkie, chociażby najspokojniejsze, najbardziej niewinne, muszą podlegać czasami burzom namiętności, których przyroda nie zna... Człowiek, pragnący oddać hołd Stwórcy w jego dziełach, nigdy nie czuje się tak skorym do uniesień na widok istoty ludzkiej, choćby najpiękniejszej, pomimo że ona stworzona na obraz i podobieństwo Boże, jak patrząc na cudowne twory spokojnej, niezmierniej przyrody. W tym to spokojnym, tajemniczym swoją ciszą a porywającym nieopisanym urokiem obrazie, który zamiast poruszać zmysły, duszę unosi do niebios, widzimy najwyraźniej dotykana dłoń Wszechmocnego...

Roman jednak, zwykle czuły na zachwyty przyrodą, znajdował się dziś w takim stanie rozterki, że nic zgoła nie widział przed sobą. Nie mógł też spostrzedz, że od pałacu zbliżała się ku niemu zwolna postać kobieca w bieli, która szła, zatrzymywała się, to znowu postąpiła parę kroków, jakby wahająca, nieśmiała, lub chora. Zbliżyła się nareszcie o tyle, że Roman usłyszał szept jej cichy, błagalny:

— Łaski... przebaczenia!...

Podniósł oczy, spojrzął i wstrząsnął się. Czy to widmo ukazało się przed nim?

Słuszną postać kobieca w bieli stała plecami obrócona do księżyca, który oświetlając ją z tyłu tworzył w około jej głowy niby aureolę z włosów roztarganych jak promyki złota. Twarz była biała, jak trupia, tylko oczy na niej błyszczwały, ciemne, ogniste. Ręce załamane opuściła wzdłuż sukni, a cała jej postać wyglądała złamana, zgnębiona.

— Łaski... przebaczenia...—powtórzyła.

Roman poznał Natalię. Na ten widok obudziła się w nim dawna energia; oburzenie go przejęło. Zrobił ruch, jakby chcąc odejść, ale ona mu przeszkodziła. Usunęła się na kolana i wyciągając ramiona zagroziła mu przejście na wązkim mostku.

— Och! nie pójdziesz!... — szeptała zdławionym głosem, — musisz mnie wysłuchać... Tak! jam winna wszystkiemu... jam sprowadziła nieśczęście na ciebie i na nią... widzisz, nie bronie się! oskarżam sama siebie... Och! bo byłam szalona... nieprzytomna... Teraz wiem, że złe zrobiłam, ale nie mogłam się powstrzymać... Tak, kochałam ciebie... ciebie jednego na świecie... i Kocham jeszcze...

Podniosła dłonie do twarzy i po tem wyznaniu milczała chwilę. Roman skamieniał. Czy to prawda? czy mu się śni?... Ktoś mówi do niego

o miłości... czy podobna?... Nie! to chyba przewidzenie! A jakie to przykre, niemiłe! ach, uciekać, uciekać!... Chwylił się za głowę, w której wszystkie tętna były jak młotami.

Ona tymczasem mówiła dalej.

— Nie chciałam pozwolić, żebyś należał do niej... do nikogo... kiedy mnie odepchnąłeś... mnie, która ciebie kochała... Zemściłam się za twoje lekceważenie, za twoją obojętność... Och! nasyciłam się zemstą!... Widziałam jej bolesć, słyszałam płacz... a teraz żałuję... byłam szalona! żałuję... czy słyszysz? Powiedz co mam zrobić, żeby wszystko naprawić?... Jestem gotowa... och! tylko przebac mi!... przebac mi!...

Znowu chwila milczenia. Z piersi Natalii odzywa się głuche łkanie, wiję się u stóp Romana w wielkiej bolesci; a on stoi ciągle jak zakamieniały, ona znowu wybucha, gwałtowniej tym razem. Podniecona siłą namiętności, podnosi się; podchodzi bliżej i prawie twarzy jego dotyka, czyniąc rozpaczliwe ruchy rękami, a oddech jej gorący, zdyszany, muska jego włosy.

— Czyś ty z kamienia, człowieku?...—pyta,— czy nie słyszysz, że błagam cię o słówko przebaczenia, czy nie widzisz, że korzę się przed tobą, ja, Natalia?... Uwolń mnie od tej męki... słyszę ciągle płacz tamtej, Janiny... słyszę żalony głos pełen cichej skargi... jak wyrzut sumienia... Powiedz, że mi przebaczasz... Jak ona płakała!...

Tego już było nadto! W znieczulonym całodzienną męczarnią umyśle Romana obudziła się nagle pełna grozy świadomość wszystkiego,— obudziła ją Natalia, mówiąc mu o łzach Janiny... Z dzikim okrzykiem odtrącił ją od siebie i uciekł.

Sam nie wiedział w jaki sposób znalazł się w swoim powozie, a potem w domu, w Wasilcach. Nie wiedział, że Wojciech opiekował się nim przez drogę jak dzieckiem, zaniepokojony stanem swego pana, i że poczciwy książę wysłał na pół drogi konie na zmianę, spodziewając się, że Roman co prędzej zechce znaleźć się w domu. Czekał go też z niepokojem i nadzieją zającegocego przyjął w otwarte ramiona, o nic nie pytając.

Naturalnym wynikiem tych wypadków było, że Roman popadł w silną gorączkę. W nieprzytomnym umyśle wciąż majaczyły się sceny dnia ubiegłego. Powtarzał ciągle, że rozkrzyżowano go na czterech ćwiekach: prawość i obowiązek—to panna Olimpia; dobroć serca w połączeniu z roztrzępianiem—to Kamilla; bezwzględność i egoizm—to hrabina; hysterya—to pani Natalia...

— Znęcały się nademną w różny sposób,— mówił,— ale zniosłem to w milczeniu... Tak, zniosłem w milczeniu... bez uniesienia...

Utkwiła mu w pamięci przestroga ojca, żeby się nie unosił.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z RZYMU.

D. 25 go Czerwca.

Dnia 27 maja odbyła się w bazylice św. Piotra doniosła uroczystość, która odbiła się donośnym echem wśród całej katolickiej ludności Włoch. Mam tu na myśli uroczystość kanonizacyjną kilku świętych. Sam akt poprzedził trzeci z rzędu Konsystorz, odbyty w pałacu Watykańskim pod przewodnictwem Leona XIII. Konsystorz ten jest nawpół-publicznym, przemawiać na nim mogą bowiem oprócz kardynałów także patriarchowie, arcybiskupi, biskupi i księża.

Na Konsystorzu tym Papież przedstawi w krótkiej allokucyi powody, jakie go skłoniły do wpisania świętych tych w poczet Błogosławionych, poczem zasięgnie rady każdego z obecnych. Po odczytaniu kilku głosów i umotywowaniu ich, pozostałe zostaną zebrane i ogłoszone w aktach kanonizacyi. Po udzieleniu bło-

gosławienstwa zebrany nastąpi zamknięcie Konsystorza.

Bazylika św. Piotra przystrojona została na dzień ten w dekoracje i draperye, których wspaniałości oddać nie zdoła żadne pióro. Prostota łączą się tu w dziwny sposób z bogactwem i nadają całej uroczystości cechę bardzo poważną. Sto tysięcy świec woskowych jarzyło się na ołtarzach, a iluminacyi dopełniały tysiące lampek. Dla zabezpieczenia świątyni przed ogniem wprowadzono we wnętrzu jej od góry do dołu krany pożarne, których strzegli liczni strażacy.

Uroczystość tak jak wszystkie odbywające się od r. 1870 miała cechę prywatną t. j. że główne drzwi bazyliki były zamknięte, a wstęp dla publiczności dozwolony był jedynie za biletami. Liczba biletów doszła do 30 tysięcy, z czego 8 tysięcy przypadło na trybuny. Uroczystość więc, jak widać z liczby uczestniczących w niej, miała tylko pozory prywatnej.

Porządku w obrębie świątyni pilnowało wojsko papieżkie, na placu jednak przed bazyliką ustawiony był pułk piechoty włoskiej.

Z okazji nadchodzącego święta Zesłania Ducha św. ogłosił Papież świeżo Encyklikę, zawierającą dokładne objaśnienie tajemnicy Trójcy św.

Leon XIII wstawiał się, jak wiadomo u sultana za Armeńczykami, a następnie za Grekami zamieszkującymi w cesarstwie tureckim. Pośrednictwo to dało rezultat pomyślny. Z okazji tej podaje „Standard“ następującą bajeczkę. Papież wysłał w roku zeszłym delegata swego mgr. Bonetti'ego z listem do sultana, w którym prosi go o opiekę nad chrześcianami na Krecie. W dniu audycyi władca ottomański był jednak widocznie w złym humorze, bo rzuciwszy zaledwie okiem na list, odezwał się po turecku:

— Cóż to za papież, który się ciągle wtrąca do spraw naszego państwa?

A potem zwracając się do delegata, rzekł po francuzku:

— Proszę oświadczyć Jego Świątobliwości, że dbam o dobro wszystkich moich poddanych.

Papież, który się o szczegółach tych dowiedział od mgr. Bonetti'ego, uczuł się tem bardzo dotkniętym i zwrócił się do rządu francuzkiego z żądaniem domagania się satysfakcyi od Turcyi.

Bajka ta jest, rzecz naturalna prostym wymysłem, wylęglym w pełnej fantazyi głowie korespondenta.

W Neapolu odbyła się z wielkim entuzjazmem uroczystość odsłonięcia pomnika króla Wiktora Emanuela na placu del Municipio. W uroczystości tej wzięli udział królestwo włoscy, księztwo Neapolu i wszystkie najarystokratyczniejsze rody włoskie.

Pomnik ten odlewać zaczął rzeźbiarz Franceschi, śmierć jednak zaskoczyła go wśród pracy, dokończył więc jej kolega zmarłego w zawodzie Scolari. Piedestał konnego posagu zrobiony jest z różowego granitu Barenio i ma  $7\frac{1}{2}$  m. wysokości. Na piedestale jest napis „Wiktorowi Emanuelowi“ i data 1897. Posąg zdobi orzeł, emblemata wojenne, a wreszcie płaskorzeźby, przedstawiające sceny z czasów przyłączenia Neapolu. Posąg konny ma 6,50 m. wysokości, a cały pomnik 15,50 m. i przedstawia się bardzo imponująco.

Odsłonięcia pomnika dokonał król Humbert osobiście. W chwili kiedy z wysokości trybuny swojej nacisnął guzik elektryczny i spadły draperye osłaniające pomnik, z setek tysięcy tłumów, zalegających cały olbrzymi plac Rady miejskiej, wyrwał się jeden wielki, entuzjastyczny, długo nie milknący okrzyk.

Rzym dał się wyprzedzić Neapolowi. Prace około kolosalnego pomnika Wiktora Emanuela w Rzymie, który wspaniałością swoją przewyższać ma wszystkie pomniki całego świata, postępują bardzo powoli. Wydano dotąd około 8 milionów lirów, a pomnik ledwo jest zaczęty. Koszta wzniesienia tego pomnika wyniosą prawdopodobnie 20 milionów lirów, trzeba bowiem wykupić cały szereg kamienic, które po zburzeniu utworzyć mają pomnikowi widok na *Corso*.

Na plac boju do Tessalii i Epiru wysłały niektóre pisma włoskie specjalnych koresponden-

tów, którzy przyłączyli się tam do ochotników legionu garybaldezyków. Jeden z tych korespondentów, Adolf Rossi ogłasza w Medyolańskim *Corriere della Sera* wspomnienia z odbytej kampanii. A wspomnienia te nie bardzo wesołe; nie mówiąc już o wszelkiego rodzaju niewygodach, których każdy udający się na plac boju mógł się w większym lub mniejszym stopniu spodziewać, największą trudność przedstawiało im dostanie się na plac boju, a to z powodu zupełnego braku najprymitywniejszych choćby wehikulów, a nawet mułów i koni. I tu nieocenione usługi oddał im rower, na którym odbywali drogę, gdzie tylko to okazało się możliwym. Ludność grecka, której środek ten lokomocyjny nie jest jeszcze znany, patrzyła z podziwem na stalowe rumaki, zaczepiając jednak lotnych cyklistów bała się. Największą jednak zaletę przedstawiał rower z tego względu, że go Grecy nie kradli, bo go nie znali i obchodzili się z nim nie umieli. Kilku korespondentów oplakiwało stratę koni, ukradzionych w nocy, z posiadaczy stalowych rumaków żaden nie znalazł się w podobnie przykrem położeniu. Rossi nie może w ogóle dość nachwalić się bicykla.

Pisma galicyjskie podały wiadomość o zamierzonym przybyciu ks. Stojałowskiego do Rzymu. Zamiar ten nie przyjdzie jednak prawdopodobnie do skutku, bo Watykan zażądał przedewszystkiem od ks. Stojałowskiego, zanim zostanie przyjęty, absolutnej, całkowitej submisji, wobec czego wątpliwem jest, czy zechce się on stawić przed kongregacją Inkwizycji.

Amatorowie malarstwa będą mieli w ciągu b. r. bardzo wielką uroczystość. Oto w sierpniu r. b. w Urbinie, rodzinnem mieście nieśmiertelnego twórcy „Madonny Sykstyńskiej“, Rafaela Sanzio odbędzie się odsłonięcie pomnika jego. Z powodu tej uroczystości syndykat miasta Urbino zorganizował komitet, złożony z pierwszorzędnych powag artystycznych włoskich, który zajął się ma urządzeniem międzynarodowej wystawy rafaelskiej.

Na program tej wystawy składają się: 1) kopie dawne i nowoczesne, olejne akwarelowe, pastelowe i ołówkowe dzieł genialnego artysty; 2) ryciny i fotografie tych dzieł i 3) dzieła sztuki i utwory literackie dotyczące życia i prac Rafaela. Wystawa trwać będzie przez sierpień i wrzesień. Osoby pragnące wziąć udział w wystawie zgłosić się powinny do komitetu pod adresem: „Alla Giunta Ordinatrice dell'Esposizione Internazionale Raffaelsca. Urbino. Italia.“ Za wybitniejsze prace przyznawane będą nagrody w medalach złotych, srebrnych i brązowych.

Przed kilku dniami rozeszła się tu pogłoska, że sędziwy maestro Giuseppe Verdi ciężko zaniemógł w willi swojej Busseto i że ze względu na podeszły wiek kompozytora, odtąd się należy każdej chwili katastrofy. Wiadomość ta zaniepokoiła bardzo mieszkańców Rzymu, okazało się jednak na szczęście, że jest fałszywą i polega na nieporozumieniu.

Na rok przyszyły zapowiedziany został w Turynie międzynarodowy kongres pedagogów, na którym roztrząsane będą kwestye dotyczące fizycznego rozwoju młodzieży. Na kongresie tym odbyć się mają narodowe igrzyska, w których weźmie udział młodzież uniwersytecka, młodzież szkół średnich i młodzież szkół ludowych, każda w właściwym wiekowi zakresie. Na czele komitetu wykonawczego kongresu stoi znany fizyolog i higienista włoski, profesor uniwersytetu Angelo Mosso. Kongres ten ma dla narodu włoskiego znaczenie bardzo doniosłe, odbędzie się bowiem dla upamiętnienia 50 tej rocznicy wprowadzenia ustaw zasadniczych. Z tego

też powodu ministerium oświaty zwróciło uwagę władz szkolnych na ważność wzięcia udziału w igrzyskach, które stanowiąc mają niejako popis narodu włoskiego na polu fizycznego wychowania młodzieży. Na igrzyska te złożą się zapasy w biegu, skoku, pływaniu, grze w piłkę nogami t. zw. *foot-ball*, rzucanie oszczepem, a zwycięzcy otrzymywać będą nagrody.

W jesieni b. r. otwarty ma być w Florencji instytut dla historii sztuki, który ma na celu zogniskowanie we Włoszech studyów nad historią sztuki, podobnie jak to ma miejsce z instytutem archeologicznym w Rzymie i stacją zoologiczną w Neapolu, które gromadzą setki uczonych z całego świata pragnących uzupełnić swoje wiadomości w danej gałęzi wiedzy. W skład komisji, która urzeczywistnić ma doniosły ten projekt wchodzi najwybitniejsi archeologowie i uczeni całego świata. Na razie instytut ten otwarty być ma tylko w formie prowizorycznej, brak bowiem fundusów nie pozwala na urządzenie go już teraz według ułożonego specjalnie programu.

Wielką sensację w tutejszym świecie muzycznym wywołało nagle zniknięcie znanego kompozytora Spira Samary. Młody kompozytor z pochodzenia Grek dał się poznać światu dzięki, znanemu medyolańskiemu nakładcy muzycznemu Sonzogno, któremu i Mascagni zawdzięcza swój rozgłos, był on nawet jego „pierwszym wynalazkiem.“ Pierwsza opera Samary nosiła tytuł „Flora mirabilis“ i doznała w r. 1884 olbrzymiego powodzenia na wszystkich niemal scenach włoskich; po niej nastąpiła „La Martire.“ „mniejsze już zyskujące powodzenie.

Od tej pory zaczęły młodego maestra przesładować niepowodzenia materyalne, zmuszające go w końcu do udzielania lekcji muzyki za bardzo skromnem wynagrodzeniem. W ostatnich czasach nie o nim nie słyszano i dopiero nagle jego zniknięcie przypomnielo publiczności nazwisko zapomnianego kompozytora i dawne jego tryumfy.

Spodziewać się jednak należy, że nagle zniknięcie Samary będzie miało ten sam skutek, jak podobna historia z S. Saëns'em i że młody kompozytor obdarzy nas wkrótce nową i lepszą od ostatniej operą.

Świat lekarski zajęty jest znowu odkryciem, dokonaniem przez d-ra Secomandi'ego. Po całym szeregu doświadczeń przyszedł on do przekonania, że jedynym, najlepszym środkiem przeciw dyfterytowi jest nafta. W Chatillon, gdzie d-r Secomandi praktykuje, panował dyfteryt przez długi czas epidemicznie, zabierając setki ofiar, po zastosowaniu jednak metody leczenia naftą ustał zupełnie. Niemcy, którzy, rzecz prosta chcieliby mieć monopol na wszelkiego rodzaju surowice, toksyny i antitoksyny i w tym wypadku sobie przypisują pierwszeństwo tego wynalazku. Zdaniem lekarzy niemieckich, które znalazło wyraz w pismach, metoda ta stosowana bywa już dawno z dobrym skutkiem w wielu szpitalach niemieckich.

Znany higienista medyolański d-r Valvassori-Peroni wypowiedział prawdziwą krucyatę przeciw pocałunkowi. Niedawno miał w Medyolanie odczyt o pocałunku ze stanowiska higienicznego, w którym wyliczył cały szereg strasznych cierpień spowodowanych całowaniem. Za pośrednictwem pocałunku przenoszone bywają choroby warg, suchoty, dyfteryt, setki zaraźliwych chorób nosa, krtani, płuc i t. d. Słowa starej piosenki „Całować chciałbym czarne twe sploty,“ zmienić by raczej zdaniem d-ra Valvassori-Peroni'ego należało na:

„Chciałbym koniecznie dostać przyzwolitą łysinę.“ Myślałby kto, woła zapalony wróg poca-

łunku, że kula rewolwerowa w plecy jest mniej higieniczna; a jednak gdy macie do wyboru między nią, a pocałunkiem, wybierzcie z całym spokojem kulę, bo ona daleko mniej niebezpieczna.

Myśleliście dotąd, że nie można małemu dziecku pozwolić, by spacerowało po wązkim na 20 metrów nad ziemią wysokim gzymsie. Mylicie się bardzo!

Jeżeli kochacie wasze dzieci, pozwólcie im raczej spacerować po gzymsie, aniżeli całować lub dać się całować. Krótko mówiąc, jeżeli chcecie popelnić samobójstwo, dajcie się całować pięknej kobiecie i oczekujecie śmierci, która przyjdzie niezawodnie w postaci raka, dyfterytu, suchoty, wyschnięcia mlecza pacyerzowego, słowem całej kliniki.

Smutny zaiste horoskop, jaki stawia d-r Valvassori. Zupełne zniesienie pocałunków dla wielkich, małych, słowem dla wszystkich. Szczytem higieny byłoby, gdyby można zakazać całować nie całowała brzegów.

Ig. Dąb.

## Kronika działalności kobiecej.

— Mieszkanki Szwajcaryi, mianowicie z kantonów Neuchatel, Lazanny i Vand, podały petycję do wielkiej rady związkowej, o poprawienie paragrafów prawa karnego, dotyczącego moralności oraz o ustanowienie ścisłej opieki rządowej nad małoletnią młodzieżą żeńską i męską, która do lat 16 powinna być podległą starannej obronie władz wyższych zabezpieczyć mogących jej życie, zdrowie i honor. Petycja podpisana została 35,677 nazwiskami, a ostatnie jej słowa brzmią: „Mamy nadzieję, że prośba nasza, pod poważną rozważką wziętą będzie, a prawo łącząc z obowiązkiem, wysoka rada wypełni interes socyalny, sprawiedliwości i wolności,“ odpowiadający zadaniom każdego państwa. Szlachetna ta petycja nie została uwzględniona, jedynie rozszerzono opiekę rządu nad młodzieżą do lat 15. Widać że nie nadszedł jeszcze czas w Szwajcaryi gruntownej naprawy kardynalnych ustaw zabezpieczających młode pokolenie od przedwczesnego zepsucia. Zasługą jednak będzie kobiet szwajcarskich, przynajmniej teoretyczną, że odważnie wystąpiły przeciw literze prawa niezgodnej dotychczas ze społeczną etyką i dążeniem do udoskonalenia narodu.

— Baronowa Alf. Rothschildowa ofiarowała Towarzystwu geograficznemu w Paryżu portret Fridjof'a Nansena, własnej swej roboty i bardzo udatnie wykonany.

— Panna Hortensya Parent, Dyrektorka szkoły fortepianowej w Paryżu, wygłosiła w dniach 17 i 24 Maja, w Sorbonie, dwa bardzo zajmujące odczyty o wychowaniu muzycznym od początków elementarnych, aż do najwyższego wykształcenia, przyczem rozwinęła cały plan swej metody gruntownie i zajmująco, zyskując ogólne zadowolenie słuchaczy i pedagogów muzycznych.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 8 i 9 T. I, powieści p. t. *Marzenie* przez Flor. Marryat. Przekład z angielskiego.

**Treść:** Pogawędka, przez ??—Sonet I i II, przez Bolesława Leśmiana. — Pierwszy zjazd kobiecy w Czechach (dokończenie). — Przyroda w poezji, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Na łasce Powieść przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg). — Z Rzymu, przez Ig. Dąb.—Kronika działalności kobiecej.

**Dodatek obejmuje:** *Marzenie*, powieść przez Flor. Marryat. Arkusz 8 i 9 T. I. Przekład z angielskiego.—Przegląd mód. 27 wzorów i robot z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.